

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tych dwoje przy oknie to pozerzy.

Wiem, niby tacy niewinni. Ona – obraca w palcach nóżkę kieliszka z kir royale o nieproporcjonalnie dużej zawartości likieru z czarnej porzeczki. On – szczypie za uszko mikroskopijną filiżankę espresso, wyglądając przy tym jak Gandalf, który pożyczył kubek od Froda. Robi to wytwornie, pewnym chwytem, dzięki któremu może sobie pić z zadowoleniem. Każdy przechodzień, patrząc na nich, mógłby pomyśleć: „Patrzcie na tych dwoje, jak leniwie błędzą wzrokiem po porcie. Ci to mają błogie życie!”

Skończeni oszuści.

A wiem to stąd, że potomstwo, z którym tu przyszli – i które teraz ignorują, udając, że go nie ma – krąży na hulajnogach wokół mojego stolika niczym głośna, natrętna karuzela. Każdego innego dnia irytowałoby mnie to jak diabli, ale dzisiaj jest szczególnie męczące, bo próbuję zastanowić się nad esemesem, którego przed chwilą dostałam. Tym, w którym zostałam poinformowana, że moje małżeństwo się skończyło.

Dzieciaki orbitują dalej. Czuję się jak próbka w wirówce.

Przewijam korespondencję w telefonie. Ckliwe epistoły ode mnie i lakoniczne, jednozdaniowe odpowiedzi od Seana.

Teraz to widzę – siebie jako świecę, której nie da się zdmuchnąć, a jego jako narwanego solenizanta, zdeterminowanego, by już wreszcie zgasić płomień, pomyśleć życzenie i zająć się swoimi sprawami.

– Proszę bardzo. Pyszna latte.

Kelner – mój były uczeń, którego nazwiska nie potrafię sobie przypomnieć – sunie, szurając podszwami, do stołu, ostrożnie, żeby uniknąć potrącenia, i stawia przede mną zamówioną kawę. Czytam powtórnie tę ostatnią wiadomość.

Przykro mi. To koniec. Już nie wracam na Guernsey.

Ciche westchnienie dochodzące zza moich pleców ostrzega mnie, że kelner zerknął z ukosa na ekran mojej komórki. Podnoszę na niego wzrok, a jemu czerwienieją policzki. To przywołuje wspomnienie tej samej twarzy – trochę młodszej, bardziej przyszczatej – z miną winowajcy po tym, jak został przyłapany na ściąganiu od sąsiada na maturze próbnej.

– Dziękuję za sprawną obsługę – mówię, wskazując ruchem głowy na kawę, po czym odwracam telefon, żeby ukryć przed chłopakiem wstrząsającą wiadomość.

Mam nadzieję, że moja uprzejmość zniechęci go do rozsiewania plotek, ale widząc, jak idzie swobodnym krokiem do lady i od razu bierze do ręki komórkę, na której coś wystukuje, mam co do tego poważne wątpliwości.

Jedno z dzieci wpada na mój stół i kawa rozlewa się na spodek. Gromię wzrokiem rodziców, oczekując interwencji. Oni tylko uśmiechają się do mnie, jakby spodziewali się, że uznają to za najślodszy na świecie scenariusz zdarzeń. Ideal-

ny kształt serca, który wcześniej zdobył moją latte, teraz wygląda jak smutny, zdeformowany Pac-Man.

Sean i ja przychodziliśmy tu w sobotnie poranki i siadaliśmy przy oknie zawłaszczonym teraz przez tych dwoje. Wybieraliśmy, którą łódź byśmy kupili, gdyby nas było na nią stać. W głębi duszy miałam nadzieję, że pewnego dnia naprawdę kupimy łódkę. Nic wymyślnego, mały rybacki kuter z jaskrawym kadłubem na jednodniowe wypady na Herm – ciepłe swetry, kanapki i idealnie zaparzona herbata w termosie dla nas dwojga. Ale Sean w gruncie rzeczy nie ma serca do łódek. Jak widać, do mnie też nie.

Ścieram mleczną kawę z mojego herbatnika Lavazza i wsuwam serwetkę między filiżankę a spodek. Papier od razu zmienia kolor z białego na jasnobrązowy, wchłaniając płamę.

Nachodzi mnie na ułamek sekundy ochota, żeby podstawić nogę małej dziewczynce, tak aby fiknęła nad kierownicą jej głupiej hulajnogi. Ale nigdy bym tego nie zrobiła. Przede wszystkim nie nosi kasku, więc te różowe okulary przeciwsłoneczne w kształcie gwiazdek – nasunięte na czoło, ale nie dość wysoko, żeby wyglądać stylowo – mogłyby się wgnieść w jej głowę.

– Patrzcie! Patrzcie na mnie! Patrzcie! – krzyczy chłopiec, balansując milisekundę bez trzymanki, jakby było to osiągnięcie na miarę występu w Cirque du Soleil.

Para dorosłych wydaje te same nieszczerze odgłosy wyrażające podziw, które opanowali do perfekcji rodzice na całym świecie, po czym wraca do przerwanej rozmowy, zostawiając potomstwo pod nadzorem obcych, którym – na szczęście dla nich – sumienie nie pozwala pod wpływem impulsu podstawić im nogę.

– Wasze dzieci powinny jeździć w kaskach – mówię i dopijam kawę jednym haustem.

Kir Royale patrzy na mnie z odrazą równie skondensowaną jak syrop w jej lukrowym drinku. Odwraca się do Espresso.

– Boże, co za ksantypa!

Wstaję, odsuwając krzesło gwałtowniej, niż zamierzałam. Oparcie potrąca chłopca, ten wpada na siostrę, a ona uderza głową o róg stołu.

Kir Royale i Espresso podrywają się ze swoich miejsc, piorunują mnie wzrokiem i tulą dzieci.

– Nie zrobiłam tego specjalnie! – Robię krok w ich stronę, aby dać im wyraźnie do zrozumienia, że jestem niewinna.

Chrup.

Okulary w kształcie gwiazdek leżą rozgniecione pod podszewką mojego Birkenstocka. Dziewczynka wyje, chłopiec się śmieje, rodzice gruchają.

Ściskam telefon niczym piłeczkę antystresową i wykorzystuję resztki mojego debetu, żeby kupić dzieciakom po lizaku w ramach przeprosin.